

ROZDZIAŁ I

Rotmistrz Dawidowicz przyjechał właśnie do Paryża i wybrał się od razu na przechadzkę nad Sekwanę. Wesół był i radosny, tak jak może być człowiek młody, kiedy jest poranek wczesnego lata i kiedy po całorocznym okresie nużącej pracy zaczął się przyjemnie zapowiadający się urlop.

Nie wiedział jeszcze, dokąd pojedzie. Dość dawno nie był poza granicami Polski – teraz, gdy otrzymał urlop, dosyć długi chciał na pobycie za granicą dobrze sobie użyć. Bretania? Normandia? Alpy? A może dłuższy pobyt w Paryżu lub wycieczka do Szwajcarii czy Anglii? Jeszcze się nie zdecydował. Wszystko było możliwe. Bez trudności, dzięki posiadanym rozległym stosunkom uzyskany paszport dawał mu swobodę ruchów, a powiększyły ją środki pieniężne, którymi rozporządzał, będąc nie tylko oficerem, lecz i dość zamożnym ziemianinem.

Szedł brzegiem rzeki, mając w całej okazałości przed sobą przecudny zarys murów kościoła Notre Dame, a wokół siebie rozległe i tak charakterystyczne dla Paryża targowisko starych książek. Przy straganach siedzieli starzy przekupnie o czerwonych twarzach i sumiastych wąsach, w szalikach owiniętych dookoła szyi – a przechodnie, studenci i starcy, kobiety i mężczyźni, przystawali przed nimi i grzebali w rozłożonych na nich stosach książek, zebranych ze wszystkich chyba stron świata i nęcących wzrok tytułami we wszystkich możliwych językach.

Spojrzenie rotmistrza zahaczyło mimo woli o leżącą na jednym ze straganów książkę polską. Odruchowo przystanął i wyciągnął ku tej książce rękę. Była to “Historia Żydów w Polsce” – dzieło, o ile można było sądzić z nazwiska autora i wydawcy, przez żydów wydane. Przewrócił kartę tytułową i zaczął pobieżnie wertować jej treść.

Przy tym samym straganie stała młoda panienska zatopiona w stosie książek. Jej uroda, kruczka czerń włosów spiętych na karku, przenikliwy spokój ciemnych oczu, a zarazem żywość i ruchliwość rysów białej, delikatnie wyrzeźbionej twarzy i zgrabna sylwetka całej postaci, przykuły jego uwagę.

Wydała mu się typową i uroczą paryżanką. Mimo woli zaczął przedłużać czas przeglądania obojętnej mu w gruncie rzeczy książki – i ponad kartkami tej książki uporczywie zerkać w stronę swej sąsiadki.

Podniosła nagle oczy i zwróciła się twarzą ku niemu. Wzrok ich skrzyżował się ze sobą. Widocznie musiało ją coś w nim uderzyć czy też zastanowić, bo nie cofnęła wzroku. Spojrzała nań przeciągle – a w oczach jej i kącikach ust zamigotało coś na kształt uśmiechu.

Ten uśmiech i to spojrzenie przyciągnęły go jak magnes. Niemal odruchowo sięgnął do jednej z przeglądanych przez nią książek, szukając pretekstu do wszczęcia rozmowy.

Pretekst okazał się dobry. Nawiązała się rozmowa we troje – z przekupniem – o zaletach i piękności tej książki. A po tak dokonanym początku potoczył się już gładko wątek rozmowy we dwoje.

Nie była nieprzystępna. Ale w tej jej przystępności, w tej jej łatwości wdania się w przygodną rozmowę z nieznanym człowiekiem, było coś nieprzeciętnego – dźwięczał w tym jakiś ton świadomego nieprzejmowania się powszechnie przyjętymi zwyczajami, a zarazem jakby artystyczna jakowaś ciekawość. Nadawało to nawiązanej znajomości piętno niebanalne – co sprawiało, że rotmistrz, który kobiet zbyt łatwych nie lubił, nie zraził się do pięknej nieznanym z miejsca, lecz przeciwnie, poczuł się jeszcze mocniej ku niej pociągnięty.

Poszli, nie spiesząc się, wzdłuż Sekwany. Rozmowa, pełna przekomarzań i uśmiechów, potoczyła się jak z płatka. Odbiegła daleko od tematu o książkach: pomknęła całą parą w łatwym i ponętym kierunku prawienia jej przez niego komplementów.

Wyrażał jej swój zachwyt nad nią, jako uosobieniem paryskości.

— Paryskości? A to pan trafił! Nie jestem wcale Paryżanką – pochodzę z głuchej prowincji.

— Czyż to możliwe?

— Pochodzę z maleńkiej miejsciny u stóp gór. Mój ojciec jest aptekarzem. Całkiem jak w farsie o ludziach z prowincji: małomiasteczkowa aptekarzówna.

— Nie umiem sobie pani wyobrazić ani na tle małego miasteczka, ani na tle gór. Cóż pani w Paryżu robi?

— Studiuje malarstwo.

— Malarstwo! A więc pani jest artystką! Gdybym był innym rodzajem artysty, mianowicie poetą, – wyobraziłbym sobie panią z paletą w rękę, pośród skał i wichrów swoich gór, niczym szarotkę gdzieś wysoko nad chmurami. Tylko że pani nic a nic nie przypomina szarotki, pani jest nie szara lecz czarna.

— A poza tym – w moich górach szarotki nie rosną. Moje góry – to tylko alzackie Wogezy.

— Pani jest Alzatką? Przypadło mi w udziale wciąż się czemuś w pani dziwić. Alzatzycy mają włosy blond i przypominają Niemców, a pani przypomina córkę najpłomienniejszego południa.

— Tak to czasem bywa, że można być równocześnie i córą południa i córą północy. Albo córą zarówno zachodu, jak i wschodu.

— To znaczy, że rodzice pani przywędrowali do Alzacji z innych stron?

— Prochy moich przodków gromadzą się na alzackich cmentarzach już od szeregu stuleci. Ale nie miejscem urodzenia naszych rodziców, ani pochodzeniem przodków naszych sprzed kilku stuleci zwykliśmy naszą przeszłość mierzyć. Pan wie tak samo dobrze jak i ja, że naprawdę ważne było właśnie to, co się działo przed tysiącletkami.

Umilkła na chwilę. Z twarzy jej znikł wyraz żartobliwy, w głowie zadźwięczała nagle powaga i patos. Jakiś dziwny, obcy i niezrozumiały błysk zamigotał jej w czarnych, przenikliwych oczach.

— Jeden jest tylko naród, który ma ojczyznę jednocześnie na południu i północy, na wschodzie i zachodzie. Jestem żydówką.

Milczał. Nie sprawiła mu tą niespodzianką przyjemności. Antysemityzm nie był bynajmniej – był od antysemityzmu jak najbardziej daleki. Ale mimo woli odczuł pewien zawód, odkrywając w osobce, która zawróciła mu w głowie i która wydawała mu się samym uosobieniem paryskości – zwyczajną żydówkę. Ale bądź co bądź, była to żydówka alzacka. Przedstawicielka rasy od wieków żyjącej z europejskim zachodem. I nic w sobie żydowskiego nie miała. To znaczy nie miała nic z tego, co my, znający żydów wschodnich, za nieodzowne cechy żydowskie zwykliśmy uważać.

Był rozczarowany – ale szybko się z uczucia tego rozczarowania otrząsnął. A ona rozczarowania jego w ogóle nie dostrzegła.

— I pan również jest synem południa i północy równocześnie. Pan jest zarazem żydem i Polakiem.

Podniósł brwi do góry, zdziwiony.

— Skądże takie przypuszczenie?

Roześmiała się zalotnie i tajemniczo.

— Jestem bardziej spostrzegawcza i przenikliwa niż pan myśli. Zachwyca się pan żydówką jako paryżanką – a więc nie jest pan paryżaninem. Ma pan w klapie marynarki wstążeczkę “Virtuti Militari”, a więc jest pan Polakiem. Z niezwykłą uwagą przeglądał pan na straganie polską książkę o historii żydów – a więc zna pan polski język, co potwierdza wniosek wysnuty ze wstążeczki orderu. Przez to samo złożył pan dowód, że sprawa żydowska nie jest panu obojętna. No a rysy pańskiej twarzy – pańskie rysy mówią resztę.

Uśmiechnął się. Jakoś go to posądzenie o żydowskość ani trochę nie dotknęło. Zupełnie inaczej było przed paru dniami, gdy wsiadł w Warszawie do paryskiego pociągu i gdy jadący do Poznania towarzysz podróży, student, zapytał go wręcz, czy czasem nie jest żydem, bo z żydem nie miałby ochoty jechać w jednym przedziale. Co prawda, chłopak ten zwrócił uwagę więcej na jego bilet wizytowy u walizki, niż na jego rysy. A nawet gdy się dowiedział, że ma do czynienia z polskim Ormianinem z Pokucia, zapewnił go, że z taką ewentualnością się liczył i że w twarzy jego dostrzegł właśnie raczej typ ormiański niż żydowski.

Nie wiadomo, dlaczego, przyszła mu fantazja niewyprowadzania jej z błędu.

— Dorzucę nową cegiełkę do wspaniałej budowli pani wnioskowania. Niech pani rzuci okiem na mój bilet wizytowy.

Spojrzała.

— Dawid Dawidowicz! Brawo! I mając takie imię i nazwisko dostał pan “Virtuti Militari”?

— Jak pani widzi. Ale skądże, u licha, zna pani ten order?

— Jestem żydówką, a sprawy polskie, tak jak sprawy Palestyny obchodzą każdego żyda, bez względu na to, w jakim zakątku świata on mieszka. Czyż nie tak?

— Słusznie, słusznie. – potwierdził, aby się jej nie sprzeciwić, ale był zdziwiony. Nie rozumiał, co mogą obchodzić sprawy polskie, co może obchodzić zwłaszcza taki drobny szczegół życia polskiego, alzacką żydówkę. Kładł to na karb jej zainteresowań malarskich.

Mimo woli, powtórnie mu się przypomniał towarzysz podróży z pociągu. Rotmistrz, troszkę dlatego, że się zirytował posądzeniem o żydostwo

i chciał w jakikolwiek sposób irytację swoją wyładować, a trochę dlatego, że rozumowo był istotnie antysemityzmowi przeciwny, wyraził mu swe oburzenie z powodu jego tak jaskrawej nienawiści do żydów. Student tak energicznie się odciął, że od razu rotmistrza osadził. Powiedział, że uważa żydów za wrogów narodu polskiego – a drzemanie w jednym przedziale z wrogiem nie należało do przyjemności, choćby przez to tylko, że widok gęby wroga niemile do snu usposabia. Rotmistrzowi, oczywiście, odpowiedź ta nie wystarczyła – toteż wywiązał się między nimi spór aż do późna w noc, w tonie już nie tak gwałtownym jak poprzednio, lecz aż do końca niechętnym.

Student naopowiadał mu nadzwyczajności o polityce żydowskiej, o wszechświatowej solidarności żydów i o ich wrogim nastawieniu do Polski, a między innymi powiedział też i jota w jotę to samo, co rotmistrz usłyszał teraz: że Palestyna i Polska jednakowo żydów pod każdym względem obchodzą. Toteż te same słowa w ustach alzackiej żydówki uderzyły go. Był jednak mimo to pewien, że ten jednobrzmiący pogląd dwojga ludzi niemających z sobą nic wspólnego, jest wynikiem zwykłego przypadku i że w każdej z tych dwóch głów zrodził się z całkiem innych pobudek.

Słowa jej nie zraziły go do niej. Raczej nawet pociągnęły jako nowy zaciekawiający go jej rys: Niezwykła musiała być ta artystyczna natura, której wyobraźnia, idąca widocznie zupełnie swoistymi i sobie tylko właściwymi ścieżkami, mogła stworzyć tak nieprawdopodobne zestawienie w jednym szeregu rzeczy tak różnych: Palestyny i Polski.

Najwyraźniej zawróciła mu w głowie. Zachował się jak smarkacz. Nie zauważył nawet, że porzucili bulwar nad Sekwaną i zapuścili się w jedną z bocznych, starych wąskich uliczek.

Nagle zatrzymała się przed jedną z bram.

— No, jestem w domu. Do widzenia!

Zadzwoiła kaskadą śmiechu, w którym nie dźwięczała wcale nuta pożegnania, dźwięczało za to całe morze zalotności. Zakreśliła się jak fryga na pięcie – i uciekła.

Rzucił się za nią w pościg. Uciekała do góry po schodach, wciąż się zanosząc od śmiechu. Gonił ją przez kilka pięter – i dopadł ją w chwili, gdy otwierała kluczem drzwi swego mieszkania. Z rozpędu wpadli oboje do wnętrza, drzwi zatrzasnąc za sobą, oboje zdyszani, a ona wciąż się śmiejąc. Złapał ją w pól, chcąc ją pocałować, ale ona

wywinęła mu się jak piskorz i uciekła na drugą stronę stolika, tańcząc wokół niego i nie dając się złapać.

Byli w pokoiku maleńkim, typowym pokoiku studenckim, o skromnym umeblowaniu i nieponętym widoku przez okno. Ozdobą jego jednak było mnóstwo żywych kwiatów oraz liczne szkice malarskie.

Zmęczyła się wreszcie, przystanąła przy framudze okna i oparłszy się o nią złapała się za serce, dysząc ciężko. Cicho zbliżył się do niej, chcąc ją wziąć w ramiona.

Powstrzymała go ruchem ręki, przyjaznym wprawdzie, lecz zupełnie stanowczym.

— Nie, nie, dość tego. Nie mam czasu.

Zatrzymał się zbity z tropu.

— Za trzy kwadransy odchodzi mój pociąg, muszę się spieszyć.

Nie na to aż tu za nią przyszedł, nie na to bez wyraźnego sprzeciwu z jej strony wdarł się do panińskiego pokoju, aby pozwolić jej wymknąć mu się z przed nosa. Ponowił więc atak. Ale ona broniła się skutecznie. Wciąż się śmiejąc i odpychając go od siebie, krzątała się po pokoju, przekładała rzeczy z szafy do walizki, zносиła do niej z całego pokoju najrozmaitsze drobiazgi.

— Wyjeżdżam do domu na wakacje, niechże pan zrozumie.

Pakowanie nie trwało długo. Przerzuciła płaszcz przez ramię i wzięła walizkę w rękę.

— Wychodzimy.

Nie było rady, musiał się do rozkazu tego zastosować.

Wyszli. Zamknęła pokój na klucz, klucz zaniósła gospodyni, zamieszkałej na tym samym piętrze, parę słów z nią jeszcze zamieniła. W dwie minuty była ze wszystkim gotowa.

— Jeśli pan chce, może mnie pan odprowadzić na dworzec.

Zaniósł jej na dół walizkę. W taksówce, do której wszedł, próbował jeszcze wyzyskiwać krótkie sam na sam, ale dostał klapsa. Nie mógł jej zalotności zrozumieć. W oczywisty sposób kładła flirtowi pewien kres, nie wiadomo, z pobudek moralnych czy konwenansowych, a jednak wabiła go ku sobie całą potęgą swojej zmysłowości i czyniła to zupełnie świadomie. Po prostu wyłaziła z niej żydówka.

Przyjechali na dworzec. Chciał jej pomóc w kupnie biletu, ale okazało się, że już bilet posiada.

Nagle wyrwała mu walizkę z ręki.

— Nazywam się Róża Levy, mieszkam w Rouffach – cisnęła mu na pożegnanie i znikła za drzwiami wiodącymi na peron. Nie mógł za nią gonić, bo nie miał biletu.

Kiedy z peronówką¹ w rękę znalazł się wreszcie na peronie, już jej tam nie było. Biegł od wagonu do wagonu, szukając, ale zaszyła się widać w mysią norę. Nie mógł znaleźć.

Zabiła mu ćwieka w głowę! Najwyraźniej zaprosiła go do siebie. A może pojechać? Miał na to ogromną ochotę.

Ostatecznie, nigdy nie był w Alzacji: przecież warto Alzację zobaczyć. Zwłaszcza, gdy żyje w Alzacji tak ponętna Alzatka. Przy tym kilka dni – to nie wieczność. Przecież dłużej, niż kilka dni, by tam nie był.

A więc czemu nie pojechać?

Skierował swe kroki ku rozwieszonym arkuszom rozkładu jazdy, aby się dowiedzieć o najbliższym pociągu.

¹ **peronówka** – dokument uprawniający posiadacza do przebywania na peronie dworcowym, niedający jednak prawa do podróży koleją. Celem tych biletów było uzyskanie przez zarządcę kolei środków na utrzymanie obiektów dworcowych oraz zapobieganie korzystaniu z tych obiektów przez bezdomnych.

ROZDZIAŁ II

Rouffach, a właściwie Ruffach, to miasteczko maleńkie, tonące w cieniu rozłożystych lip i osnute całe winną łożą.

Rotmistrz Dawidowicz siedział w maleńkim, małomiasteczkowym hoteliku i wyglądając przez okno na wąską, źle wybrukowaną, lecz ściśle, przez stare, kilkupiętrowe domy zabudowaną uliczkę, oraz na rozłożone na jednym z dachów, pełne piskląt bocianie gniazdo, jadł śniadanie. Właściciel hoteliku, rodowity Francuz, krzątał się koło niego i zabawiał go rozmową.

Rotmistrz zapytał go, czy mieszka tu aptekarz nazwiskiem Levy – i czy on go zna.

— Ach, oczywiście, oczywiście! Pan Levy to wielki patriota! To najwybitniejsza postać w naszym mieście. Zarówno on, jak jego ojciec, wsławili się tu działalnością patriotyczną jeszcze za czasów niemieckich. Pan może filatelista?

— Nie, skądże znów?

— Nie? Hm. Pewien byłem, że pan jest filatelistą.

— To pan Levy za czasów niemieckich zaznaczył się jako patriota francuski?

— Tak, i jak jeszcze! Całe życie narodowo-francuskie naszego miasteczka i naszej okolicy skupiało się w aptece “Pod Trzema Kulami”. Ja sam tego nie widziałem, bo osiadłem tu dopiero po wojnie, ale bohaterstwo pana Levy’ego jest mi znane ze słyszenia.

— Aż bohaterstwo?

— A tak! Oczywiście! Oczywiście! Pan Levy jest bohaterem! W czasie wojny – był on wtedy jeszcze dosyć młody – uciekł z niemieckiego wojska, do którego wzięto go jako oficera rezerwy, przekradł się przez Wogezy na francuską stronę, zaciągnął się jako ochotnik do armii francuskiej i początkowo walczył przez czas pewien na froncie, a następnie przez cały czas wojny pracował gdzieś w sztabie czy w którymś ministerstwie, jako rzeczoznawca od spraw alzackich. Ma nawet order Legii Honorowej.

Rotmistrz uśmiechnął się pod wąsem. Bohaterstwo wydawało mu się wątpliwe, lecz przyznawał, że jak na żyda był to typ dość osobliwy.

Przed wojną nie spotykało się w poznańskim żydów, którzy by tak służyli sprawie polskiej, jak ten sprawie francuskiej.

— Nie wiedziałem, że człowiek, o którego pytam, jest taką znakomitością.

— Ale nie dość na tym. To, co o nim powiedziałem, to czyni zeń znakomitość miejscową, tutejszą. Lecz pan Levy jest znakomitością o skali światowej. Nazwisko jego jest w całym świecie znane.

Rotmistrz podniósł głowę ze zdziwieniem. Hotelarz zamilkł na chwilę, chcąc podnieść napięcie uwagi słuchacza. Po czym ogłosił uroczyście, licząc na olbrzymie wrażenie:

— Pan Levy od szeregu już lat jest prezesem wszechświatowego związku filatelistów!

Rotmistrz uśmiechnął się znowu.

— Czy tak?

— Doprawdy!

Hotelarz wpadł widać na swój ulubiony temat, bo przysunął sobie krzesło i przysiadł się blisko rotmistrza. Omal, że go nie ujął za guzik.

— Nie ma pan pojęcia, ilu filatelistów tu do niego przyjeżdża! Istne pielgrzymki, niczym muzułmanów do Mekki. W niektórych okresach to prawie nie ma dnia, żeby ktoś do niego nie zajeżdżał. Czasem odbywają się u niego całe zjazdy. Ale najczęściej przyjeżdżają pojedynczo, posiedzą jeden lub dwa dni, pogadają sobie o swych znaczkach i wyjeżdżają. Nasze miasto tak się już przyzwyczało do tych cudzoziemskich pielgrzymek, że się już nimi nawet nie interesuje.

— Jak i skądże oni przyjeżdżają?

— Panie! Z całego świata – i z Rosji, i z Niemiec, i z Ameryki, i z Anglii, i z Egiptu, i z Turcji, i z Australii, i skąd pan chce. No i naturalnie od nas z Francji. Nie wyobraża pan sobie, ilu tu ludzi przyjeżdża z Paryża. I to jakich ludzi! Sławnych – deputowanych, profesorów, literatów, ministrów. Wszyscy interesują się filatelistyką i uważają naszego pana Levy'ego za swojego wodza.

Zabawny to był człowiek, ten hotelarz. Ale zapewne jeszcze dziwniejszym typem musi być ów Levy. Jeśli tylu ludzi tu przyjeżdża, by go poznać, to chyba nie dla filatelistyki, lecz by zobaczyć podobnego oryginała. Po prostu, by go obejrzeć, jako ciekawostkę turystyczną. Dziwactwo ludzkie jest bezbrzeżne, to też i dziwaków, którzy zwariowali na punkcie znaczków pocztowych, są tysiące. Ale z pewnością nie należą do nich ministrowie i profesorowie.

Śniadanie było skończone. Rotmistrz powstał.

— No więc, jakże się idzie do tej apteki.

Usłużny hotelarz pokazał mu drogę przez okno. Apteka leżała w bocznej uliczce. Zajmowała parter starego i malowniczego domku, do którego przytykał sad, ogrodzony od ulicy obrośniętym winną łożą murem. Ponad wejściem do apteki widniały trzy kule, będące jej godłem, a napis na szyldzie opiewał, że istnieje ona już od trzech stuleci.

Na piętrze mieszkali widać właściciele, bo w chwili, gdy rotmistrz znalazł się naprzeciw domku, w jednym z okien pięta mignęła mu twarz pięknej Róży.

I ona zauważyła go również, bo, uradowana, wychyliła się przez okno i przywołała go ręką.

— Och, monsieur Dawidowicz! Venez— y! Venez— y!²

Zawahał się przez chwilę. Przyjechał tu tak bez namysłu, że właściwie nie ułożył sobie planu, co tu będzie robił? Perspektywa odwiedzenia jej w jej domu zaskoczyła go niemal. Przyjechał w ślad za panną do jej rodzinnego miasteczka i teraz składa w jej domu rodzicielskim wizytę – toż to niemal konkury³! Ostatecznie, nie był aż tak zadurzony, by mu się chciało na podobną drogę wstępować.

Ale nie umiał się od tego zaproszenia wykręcić. Nie było rady. Trzeba było na razie brnąć dalej.

Wskazała mu ręką, by wszedł przez aptekę. Nacisnął klamkę i wszedł do wnętrza.

Klatka schodowa zajmowała środek domku. Oszklone drzwi prowadziły do apteki, w której głębi krzątał się niesympatyczny, niemłody żyd, o nalanej wygolonej twarzy i wylupiastych oczach. Na lewo wiodły drzwi dębowe nieprzejrzyste.

Schody były staroświeckie i strome. Wytarta, gruba, dębowa poręcz przypominała stare kamieniczki w dzielnicy staromiejskiej w Warszawie. Zwieszający się z sufitu mosiężny pająk i widoczne w półmroku stare sztychy na ścianach nadawały temu wejściu charakter intymny i zadomowiony.

Schody wiodły na pierwszym piętrze wprost do obszernego hallu, który odgrywał rolę salonu. Znać tu było dostatek i zasiedziałość od szeregu pokoleń. Wspaniały, puszysty, wschodni dywan tłumił odgłos kroków. Rozstawione dookoła meble – ciężkie, stare, dębowe, przypominające styl gdański – wskazywały swoim wyglądem, że wykonano je w wieku siedemnastym. Stare obrazy na ścianach, cynowe misy i konwie na szafach,

² **Venez-y! Venez-y!** – (fr.) Chodź! Chodź!

³ **konkury** – dawniej staranie się o rękę kobiety [słownik j. pol. PWN]

powiększały jeszcze wrażenie starej mieszczańskiej siedziby niemieckiej. Tylko dwa pięcioramiennie, mosiężne świeczniki bóżniczne⁴ i wielka szafa, pełna pergaminowych ksiąg o hebrajskich napisach na grzbietach, nadawały temu domowi piętno żydowskie.

Pod oknem, przy stole, nakrytym niewielkim koronkowym obrusem, siedziały trzy osoby i piły herbatę. Były to Róża, odgrywająca widać rolę gospodyni domu, i dwóch mężczyzn.

Obaj byli jeszcze dość młodzi. Był między nimi jakiś niedostrzegalny rys podobieństwa. Obaj byli niezwykle wytworni, szczupli, uśmiechnięci, obaj byli brunetami, obaj mieli niewielkie, ostre wąsiki, ocieniające wargi czerwone i pełne. Jeden z nich miał włosy zaczesane gładko, drugiemu tworzyły one nad czołem niewielką, z lekka kędzierzawą, ku górze zaczesaną grzywę, nadającą jego sylwetce piętno południowca. Ten ostatni, o dziwo, miał w klapie znaczek włoskiej partii faszystowskiej.

Róża roześmiana i wesoła, rozpoczęła prezentację.

— Oto moja zdobycz paryska, o której wam opowiadałam. Pan Dawid Dawidowicz, rotmistrz polskiej kawalerii. Słuchajcie uważnie: rotmistrz polskiej kawalerii. A to pan Giacomo Bruno, znany finansista z Mediolanu, oraz pan Armand Brun, paryski dziennikarz i deputowany.

Rotmistrz oniemiał ze zdumienia. Był pilnym czytelnikiem gazet, toteż oba te nazwiska były mu już znane. Nie mógł pojąć, co mogło sprowadzić pod jeden dach i posadzić w przykładowej zgodzie obok siebie tego namiętnego paryskiego publicystę – radykała, dla którego Mussolini i Włochy faszystowskie były samym wcieleniem nienawistnych sił – i tego faszystowskiego bankiera, którego operacje pożyczkowe tylokrotnie wyciągały rząd włoski z finansowych kłopotów?

— Czy panowie są filatelistami? – zapytał.

Wzięli to za żart i roześmiali się wesoło.

— Na dziś, oczywiście tak. Jakże by mogło być inaczej w tym domu? Pan również filatelista?

— Ja wyznaję otwarcie, że nie.

Faszysta uśmiechnął się z lekka.

— Pan jest szczerzy.

A więc wynika stąd, że oni nie są szczerzy. Cóż więc jest przyczyną istotną spotkania się w tym domu? Może jakiś cel polityczny? Ale jaki?

— Ma pan impet kawaleryjski – podjął paryżanin. – Różnie pan prosto z mostu!

⁴ **bóżnica, bożnica** – dawniej synagoga [słownik j. pol. PWN].

Drżała w tym lekka nuta ironii. Widać nie był on wielbicielem wojska w ogóle – a kawalerii w szczególności.

Włoch był bardziej ugrzeczniony i opanowany – ta nutka ironii nie poszła mu w smak. Skwapliwie zwrócił się do rotmistrza.— Jest mi niezmiernie miło pana poznać. My, faszyci, jesteśmy nacjonalistami włoskimi, ale nie przeszkadza nam to mieć zrozumienie i sympatię dla innych narodów. Moja sympatia dla Polski jest zrozumiała, bo w moich żyłach płynie krew polska. Ale oto, jak pan widzi, nawet z takim przysięgłym wrogiem swego kraju, jak pan Brun, włoski faszysta potrafi utrzymać przyjacielskie stosunki.

Francuz roześmiał się głośno. Słowa Włocha ubawiły go mocno.

— Ależ dyplomata ten Giacomo – zwrócił się do Róży. – Nigdy nie zmienia tonu i pozy.

— To słuszna metoda – stanęła Róża w jego obronie. – Poza nigdy nie zmieniana mocno wchodzi w krew.

Włoch był wyraźnie niezadowolony. Tuszował słowa Francuza i Róży pilnym podtrzymaniem rozmowy.

— Pan z której Polski pochodzi?

— Jak to “z której”? Czyż są dwie?

— No – rosyjska, austriacka i pruska.

— Ach, tak! Pochodzę więc z zaboru austriackiego.

— Z jakiego miasta, jeśli wolno wiedzieć?

Rotmistrz się o mało nie zdradził, że pochodzi nie z miasta, lecz ze wsi. Ale w porę ugryzł się w język. Przypomnił sobie, że go Róża uważa za żyda. Miał już wprawdzie dość tej zabawy w żyda – ale jakiś instykt podszeptał mu, aby na razie jeszcze właściwego swego oblicza nie odsłaniać.

— Pochodzę z... z... Kołomyi – wymienił miasto najbliższe swej rodzinnej wsi. Nie powiedział zresztą nieprawdy: ze wszystkich miast w których w życiu mieszkał, w Kołomyi przebywał najdłużej, uczęszczając tam przez lat dziewięć do gimnazjum.

— Z Kołomyi? – zainteresował się Francuz. – To zdaje się niedaleko miasta Striż?

— Jakiego miasta?

— Striż, może zresztą nie dobrze wymawiam. Nigdy nie nauczę się dobrze czytać polskich nazw. Pisze się S-t-r-y-j.

— Stryj! Tak, to nie daleko od nas. Skądże pan wie coś o Stryju?

— Mój ojciec stamtąd pochodzi – dziennikarz urwał nagle i zrobił minę oniemiała dowcipną. – Niech pani spojrzy, panno Rózo, jak mnie ten Giacomo przeszywa wzrokiem! Ha... ha... – Nie mogę! Pęknę ze śmiechu.

Ubawiło to Różę.

— To nadmiar ostrożności, panie Giacomo. Jesteśmy przecież sami swoi.

A na rotmistrza padło nagle olśnienie. Żydzi!

Pochodzą oboje ze Stryja, pewno są nawet z sobą spokrewnieni. Nawet nazwisko noszą w gruncie rzeczy to samo.

Odkrycie to wywarło na nim wielkie wrażenie. Że wielu żydów wybiło się na wybitne stanowiska w polityce europejskiej, o tym wiedział. Ale nie przypuszczał, by potrafili oni z taką obłudą pozostawać nadal żydami i ponad głową narodów, z którymi się pozornie zasymilowali, utrzymywać po cichu stosunki z innymi żydami, wrogami ich przybranej ojczyzny.

Odczuwał oburzenie i niesmak. Miał stanowczo dość zarówno swojej roli udanego żyda, jak i całego tego domu, oraz samej panny Róży.

Rozmowa się mimo woli urwała. Giacomo był zagniewany na swego krewniaka. Armand siedział milcząco i bezczelnie uśmiechnięty, niby żydowski urwis, który splątał udanego figla, a rotmistrz kręcił się na krzesła jak na szpilkach, niezadowolony i zakłopotany. Ratowała położenie panna Róża, starając się wszcząć rozmowę na temat piękności górskiego pasma Wogezów.

Rotmistrz miał już zamiar wstać i zacząć się żegnać, gdy nagle drzwi się otworzyły i wszedł do pokoju gość nowy.

Był to starzec o wyniosłej postawie, o siwej czuprynie, siwych brwiach i siwych sumiastych wąsach. Przykuwającym uwagę szczegółem jego twarzy były jego oczy, czarne, przenikliwe i mądre. Jakże przenikliwe i mądre! Rotmistrz nie przypominał sobie, by widział kiedykolwiek w życiu oczy o tak niezwykłym wyrazie...

Obaj młodzi ludzie powstali pospiesznie i z szacunkiem, jak uczniowie przed swym profesorem. Nawet Róża, rozhukana zwykle i pewna siebie, przesunęła się koło stołu jak trusia.

— Tatusiu – pan Dawidowicz.

Było coś majestatycznego w jego postawie. Coś, co nadawało mu cechę władczości przyzwyczajonej do posłuchu. Objął rotmistrza krótkim, skupionym spojrzeniem i wyciągnął ku niemu rękę.

— Jestem Levy.

Młody oficer wyprężył się odruchowo i stuknął obcasami – jak wobec człowieka znacznie wyższej od siebie szarży.

— Rotmistrz Dawidowicz.

ROZDZIAŁ III

— Niech pan siada.

Rotmistrz usiadł posłusznie. Spoczywał na nim wzrok uporczywy i badawczy. Pod wzrokiem tym rotmistrz kręcił się niespokojnie na krześle. Zdawało mu się, że go wzrok ten przenika na wylot.

— Pan dawno w polskim wojsku?

— Od czasu wojny.

— Nie miał pan trudności z powodu... z powodu pańskiego nazwiska?

— Nie. Co najwyżej drobne podrwiwania ze strony kolegów.

— Kim był pański ojciec?

— Miał majątek ziemski.

— Majątek ziemski? – Wzrok starego człowieka wpił się weń jeszcze silniej, jakby chciał wydobyć z niego całą prawdę.

Wydało się rotmistrzowi, że ma do czynienia z hipnotyzerem. Wiedziony jakimś instynktem, skupił w sobie całą siłę woli, aby się mocy tego wzroku nie poddać.

— Miał majątek ziemski?

— Tak – zresztą głównie lasy.

Wzrok żyda złagodniał.

— Handlował drzewem?

— Tak.

— Miał tartak?

— Tak.

— I młody panicz, syn dziedzica – poszedł do kawalerii? – W głosie jego zadźwięczała drwina.

— Tak.

Zapadło milczenie.

— Hm. A ma pan rodzeństwo?

— Mam siostrę.

— Zamężna?

— Nie, panna.

— Hm. A jak było pana ojcu na imię?

— Dawid. Dawid Dawidowicz.

— Hm. Tak. Hm. No dobrze.

Energicznym ruchem zaznaczył zakończenie rozmowy i powstał.

— Zje pan u nas obiad. O godzinie piątej.

Było to powiedziane tak stanowczym tonem, że rotmistrzowi nawet przez myśl nie przeszło się sprzeciwić.

— Tak jest, proszę pana.

Zaproszenie to oznaczało zarazem zakończenie wizyty porannej. Rotmistrz skwapliwie się pożegnał i wyszedł.

Gdy znalazł się na ulicy, poczuł, że jest zlany potem.

Co to był za człowiek? Hipnotyzer? Chyba hipnotyzer! I co to za dziwny dom. Po co się ci żydzi tu zjeżdżają? Bo ci wszyscy filateliści z całego świata, o których mu mówił hotelarz, to zapewne wszystko żydzi!

Niepospolita jakaś postać! Może to tajny wódz narodu żydowskiego? “Książę wygnania” – przypomniało mu się takie dziwne określenie, które gdzieś i kiedyś, nie wiadomo kiedy, słyszał. Może od tego studenta w pociągu? – Aha, tak, na pewno od tego studenta. Czuł, że natrafił na wątek jakichś dziwnych tajemnic świata żydowskiego. Że natknął się na jakiś ukryty przed oczyma obcych ośrodek zorganizowanego życia żydowskiego.

Miał ochotę uciec przed tym wszystkim, gdzie pieprz rośnie. Najchętniej byłby odjechał najbliższym pociągiem, ale stanął mu na przeszkodzie ten obiad. Nie mógł ostatecznie uciekać niby wystraszony smarkacz. Musiał się jakoś wycofać poprawnie.

Zły na siebie za całą tą wycieczkę do Rouffach, zarazem niezadowolony, zaniepokojony i zmęczony, poszedł się przejść za miasto w śliczne, pełne polnego kwiecia i ozdobione malowniczymi, spotykanymi co krok kapliczkami przydrożnymi, i doliny podgórskie, wijące się wśród winnic.

Gdy po paru godzinach powrócił do hotelu, zastał czekającego nań policjanta.

— Przyszedłem zobaczyć pański paszport.

— Mój paszport? – rotmistrz był zdziwiony. Nigdy mu się nie zdarzyło być we Francji nagabywanym przez policję o paszport.

Miał paszport przy sobie. Wyjął go i okazał.

— A jest tu wiza francuska? – policjant był nieufny i szorstki; przeglądał książeczkę kartka po kartce. – O, jest, jest! Hm... Jest wiza. – miał taką minę, jakby właśnie obecność wizy stanowiła okoliczność podejrzaną.

— Ja to muszę zabrać.

— Jak to? Dlaczego?

— Dlaczego, to moja rzecz. – Spokojnie chował dokument do kieszeni.

— Ja chcę dziś wieczorem wyjechać! Paszport jest mi potrzebny.

— To pan wyjedzie jutro. Jutro rano panu odniosę.

Zasalutował i poszedł.

Rotmistrz był wściekły. Był zdecydowany zaraz po obiedzie się pożegnać i wieczornym pociągami odjechać do Paryża. A tak – nie będzie nawet mógł zamiaru odjazdu przy obiedzie wyjawić, bo czymże upozoruje pozostanie w Rouffach aż do rana? Tym bardziej, że Róża wiedząc z góry, że on chce wyjechać, może mu jakoś jego zamiar pokrzyżować. Nie ma rady. Trzeba będzie jeszcze raz zejść jutro rano i dopiero wówczas powiedzieć o wyjeździe. Najlepiej będzie powiedzieć, że dostał depeszę, wzywającą do powrotu – i dlatego wyjeżdża tak nagle. Przyśle potem kartkę pocztową z pozdrowieniami – i na tym znajomość będzie zakończona.

Oczyścił się z kurzu po przechadzce i poszedł do Levych.

Obiad minął w nastroju nadspodziewanie miłym. Stary Levy zmienił ton, stał się kulturalnym i dobrze wychowanym starszym panem, który uważa sobie za obowiązek zabawiać gości rozmową, aby uprzyjemnić im pobyt w jego domu. Rozmowa toczyła się koło tematów niemających nic wspólnego z tym, o czym mówiono rano. Levy opowiadał o swych przeżyciach wojennych i o swych bardzo licznych i ciekawych podróżach – to znów mówiono o teatrze i nowych premierach w Paryżu, oraz o obchodzącej Różę sztuce malarskiej.

Róża siedziała obok rotmistrza. Odziana była w jasną, leciuchną, przejrzystą sukienkę, tworzącą ? ze śniadą jędrnością jej kształtnych, pełnych ramion, jej dekoltu i jej smukłej szyi. Była tak śliczna, że zapomniał, iż ma do czynienia z żydówką, wydała mu się znów uroczą Francuzką. Był niemal rad, że jeszcze nie wyjeżdża, i że się z nią znów jutro zobaczy. Gdy pochylała ku niemu swą głowę o delikatnym rozświetlanym przez ciągle uśmiechy profilu i drobniutkich loczkach na karku, wymykających się spod wielkiego węzła czarnych włosów, nabierał ochoty na pożegnanie ją jutro pocałować. I czuł, że gdyby zechciał, to wcale by to nie było rzeczą zbyt trudną.

Wstając od obiadu, rotmistrz zapowiedział na jutro rano swą wizytę.

— Ale niech pan przyjedzie wcześniej! Mam zamiar zaprowadzić pana na wycieczkę w góry. Wymknęlibyśmy się na cały dzień!

Miał na taką eskapadę wielką chętkę, ale ponieważ postanowił sobie położyć kres tej niebezpiecznej znajomości i nazajutrz rano wyjechać, starał się chętnie tej się nie poddawać.

— Z wielką przyjemnością – rzekł powściągliwie. Nie chciał się już teraz od udziału w tej wycieczce wykręcać, skoro zawiadomienie jutro o nagłym wyjeździe i tak to za jednym zamachem załatwi.

Zasiedział się jeszcze czas pewien u Levych – i wrócił do domu w znacznie polepszonym humorze. Nawet Levy nie wydawał mu się już tak tajemniczą postacią, jak rano.

Spał świetnie – i zerwał się wcześniej, obudzony przez świergot ptaków i przez blask jasnego porannego słońca.

Stał właśnie przy oknie, pędzując sobie policzki mydłem do golenia i odruchowo wyglądając na widoczną z góry na całej przestrzeni uliczkę, gdy nagle zatrzymał się jak wryty. Zobaczył dwie postacie znajome.

Byli to dwaj znani mu z widzenia polscy dyplomaci.

Nie wierzył własnym oczom. Odłożył pędzel i wychylił się przez okno, by zobaczyć lepiej.

Tak, to na pewno byli oni. Pan Samuel Kleinerman z Genewy, wybitny i szeroko znany przedstawiciel rządu polskiego przy Lidze Narodów⁵ – i pan Jarosław Czerwiecki, sekretarz ambasady w Paryżu, człowiek młody i nie mający jeszcze rozgłosu w polityce, ale znany rotmistrzowi ze stosunków prywatnych.

Co oni mogą tu robić? Idą od strony dworca, – to jest jasne. I idą wyraźnie w stronę apteki “Pod Trzema Kulami”.

Rotmistrz był do głębi wzburzony. Ależ to jest zdrada państwa! Nie mógł wczoraj nie odczuć niesmaku, gdy stwierdził, że spotkali się ze sobą dwaj żydzi, przedstawiciele dwóch państw, niezbyt sobie przyjaznych: Francji i Włoch, i za plecami swych rządów zapewne się ze sobą poufnie porozumiewali. Ale oburzył się tym bardziej, gdy ujrzał, że w porozumiewaniu się takim biorą udział i obywatele jego własnej ojczyzny, w dodatku zajmujący stanowiska urzędowych przedstawicieli rządu.

Nie dziwił się, że ujrzał tu Kleinermana. Był to żyd z gatunku żydów obskurnych. Słyszał o nim w kołach towarzyskich w Warszawie wiele uwag, wypowiedzianych z przekąsem i niechęcią. Była to postać dość mętna. Przed wojną weterynarz w galicyjskim miasteczku, – zrobił w czasie wojny szybką karierę jako członek różnych komisji do zwalczania epidemii wśród zwierząt.

⁵ **Liga Narodów** – organizacja międzynarodowa powołana w 1920 roku w celu zapobiegania wojnom, współpracy międzynarodowej i zapewniania pokoju. Działalność zakończyła wraz z wybuchem II wojny światowej. Obecnie agendy i majątek Ligi Narodów są w posiadaniu ONZ

W tym charakterze został przez rządy państw centralnych wysłany do Turcji, gdzie miał organizować walkę z epidemiami wśród koni i bydła na froncie mezopotamskim, palestyńskim i kaukaskim. Nie wiadomo, czy zarazy tam zwalczył – wiadomo natomiast, że w czasie pobytu w tamtych stronach wyrobił sobie niezrozumiałe rozległe stosunki w kołach politycznych tureckich, bułgarskich, arabskich, ormiańskich i innych – i w rozmaitych politycznych poczynaniach odgrywał tam rolę faktora⁶.

Gdy powstała niepodległość Polski zgłosił się w Warszawie, ofiarowując swoje usługi rządowi polskiemu. Przyjęto go z otwartymi ramiomami jako “znakomitego rodaka”, znanego ze swej wybitnej roli w polityce międzynarodowej. Jako znawca spraw Bliskiego Wschodu wysyłany był w rozmaitych misjach politycznych na bałkany i do krajów azjatyckich, – aż wreszcie osiadł na stałe w delegacji polskiej przy Lidze Narodów, gdzie zdobył sobie nowy rozgłos pacyfizmem, oraz “szerokością poglądów międzynarodowych”, która pozwalała mu nie obstawać nigdy w sposób ciasny i uparty przy egoistycznych interesach państwa, które reprezentował i wielkodusznie składać nieraz te interesy na ołtarzu “powszechnego dobra społeczności międzynarodowej”. Zarazem wsławił się tam również stanowczością w zwalczaniu dążeń katolickich, oraz nacjonalistycznych, a w szczególności w zwalczaniu wpływów Watykanu i rządów faszystowskich Włoch, a ostatnio też i hitlerowskich Niemiec.

Że postać taka, której wierność Polsce i pożyteczność dla polityki polskiej podawano nieraz w Warszawie w wątpliwość nawet w kołach najmniej zarażonych antysemityzmem, mogła się kumać z zagranicznymi żydami – to rotmistrz pojmował bez trudu. Ale co tu mógł robić pan Jarosław Czerwiecki?

Nigdyby mu przez myśl nie przeszło przypuszczenie, że istnieją jeszcze jakieś węzły, które go łączą z żydostwem.

Wiedział o panu Czerwieckim dość dużo. Tak się przypadkiem złożyło, że od paru miesięcy wciąż o nim coś słyszał.

Ich najbliższa sąsiadka, zarazem koleżanka i najbliższa przyjaciółka jego siostry, panna Marysia Romanowiczówna, była z tym Czerwieckim od niedawna zaręczona.

Poznali się w czasie ostatniego karnawału we Lwowie, gdzie młody dyplomata spędzał swój urlop. Zaręczyli się w dwa miesiące po zawarciu znajomości. W okresach rozstania usychali z tęsknoty za sobą i zasypywali się listami.

⁶ **faktor** – dawniej pośrednik [encyklopedia PWN]

Ale w wielkiej tajemnicy szeptano sobie po dworach i w ich sąsiedztwie, że rzeczy tylko z pozoru wyglądały tak romantycznie. Prawdziwa i gorąca miłość miała miejsce tylko z jednej strony: ze strony panny Marysi. Nie chciała ona o niczym słyszeć, co by ją mogło zrazić do narzeczonego i patrzała w niego jak w tęczę. – Ale on bynajmniej zakochany nie był.

Był to podobno zwyczajny łowca posagu. Zakochał się nie tyle w Marysi, co w pięknym, dobrze zagospodarowanym i nie zadłużonym majątku, którego była dziedziczką. Był to podobno cynik i lekkoduch, mający jak najmniej zadatków na dobrego męża.

Spełniając prośbę swej siostry, która była o przyszłość swojej przyjaciółki niespokojna, rotmistrz wypytywał się o młodego dyplomata w Warszawie i starał się dowiedzieć o nim jak najwięcej szczegółów. Zebrane opinie były na ogół niepoehlebne. Wynikało z nich wprawdzie, że pan Jarosław jest dyplomata bardzo zdolnym i ma zapewnioną karierę, ale że jako człowiek, a zwłaszcza kandydat na męża Marysi, dziewczyny wychowanej w tradycjach polskiego dworu, stanowił typ wręcz ujemny. W przekonaniu rotmistrza i ku jego szczeremu żartowi (gdyż pannę Marysię bardzo lubił) jej przyszłe życie małżeńskie zapowiadało się bardzo nieszczęśliwie.

Ale jedną przynajmniej obawę, która w jego rodzinie i w rodzinie panny Romanowiczówny nurtowała, zdawało mu się, że rozproszył w sposób usuwający wszelkie wątpliwości. Podejrzewano mianowicie, że pan Czerwiecki, mimo szlachetnego sygnetu na palcu, jest żydem. Rotmistrz stwierdził natomiast, że Czerwiecki jest nie żydem lecz frankistą⁷. Nie słyszał dawniej o frankistach, ale przy okazji zbierania wiadomości o Czerwieckim, dowiedział się o nich dość dużo.

Dowiedział się więc, że była to sekta żydowska, która pod wodzą swego przywódcy, niejakiego Jakuba Franka, przyjęła jeszcze w XVIII wieku chrzest i przeniknęła w głąb społeczeństwa polskiego, w którym od razu zaczęła odgrywać znaczną rolę.

Duża część frankistów otrzymała od Rzeczypospolitej przedrozbiorowej polskie herby szlacheckie. Niektórzy z nich przybrali nazwiska starej szlachty polskiej, inni zaś potworzyli sobie nazwiska sztuczne, tak, jak to żydzi nieraz robią dzisiaj. Między innymi pewna ich grupa przybrała nazwiska od nazwy miesięcy: Styczyńscy, Lutecy, Marzecy, Kwiecieńscy, Majewscy... Stąd również wzięła się szlachecka rodzina Czerwieckich.

⁷ **frankiści** – żydowskie ugrupowanie religijne, założone w połowie XVIII wieku przez J. Franka. Ruch ten był ruchem religijnym o charakterze sekty. Cechował się mesjanizmem i ezoteryzmem, opierał się na kabalistycznej księdze Zohar. Duża część frankistów przyjęła chrzest i przeszła konwersję na katolicyzm w XIX wieku [encyklopedia PWN, Wikipedia]

Czerwieccy ci skoro tylko zostali przyjęci w poczet szlachty, kupili sobie majątek ziemski i stali się ziemianami. Przodkowie pana Jarosława walczyli w powstaniu kościuszkowskim i w wojnach napoleońskich, spiskowali w okresie Królestwa Kongresowego w masonerii, brali udział w powstaniu listopadowym (wywołanym jak wiadomo przy niemałym współudziale frankistów), tułali się na emigracji, przyłożyli rękę jako członkowie partii “czerwonych” do wywołania powstania styczniowego, a wreszcie brali żywy udział w polskim życiu umysłowym doby najświeższej. Kilku Czerwieckich walczyło w legionach Piłsudskiego, a jeden z nich padł pod Kostiuchnówką.

Dzisiaj już tylko jedna gałąź ich rodziny siedziała na roli, – pan Jarosław urodził się już w mieście, gdzie ojciec jego i dziad trudnili się adwokaturą. Ale zachowali wszyscy formy wielkopańskie i dumę szlachecką. Pod względem rasowym zachowali zresztą wyraźny typ żydowski, bo od chwili przyjęcia chrztu ród Czerwieckich zwykł był szukać sobie żon spośród szlachty frankistowskiej i dzięki temu krew żydowska w żyłach tego rodu nie uległa nigdy rozcieńczeniu. Ale oczywiście, przez myśl nie przychodziło nikomu, by mogli oni, wyznając od lat blisko dwustu wiarę katolicką i tyleż czasu należąc do polskiej szlachty, zachować żydowskie uczucia.

Toteż widząc pana Jarosława Czerwieckiego, idącego wraz z jawnym żydem Kleinermanem do tak dziwnej osobistości żydowskiej jaką był stary Levay, – rotmistrz Dawidowicz po prostu oniemiał.

Pragnął – choćby tylko dla dobra panny Romanowiczówny – dowiedzieć się nieco o celu przyjazdu Czerwieckiego do Rouffach. Przyspieszał więc swoją toaletę, aby móc jak najprędzej udać się do Levych.

Był już prawie gotów, gdy ktoś zapukał do drzwi jego pokoju.

— Proszę.

Wszedł młody chłopak, może piętnastoletni. Rotmistrza uderzyła jego zmarszczona brew i mina pogardliwa i niechętna.

— Ojciec mnie tu przysłał. Kazał mi się pana spytać czy chce pan śniadanie?

— Twój ojciec to właściciel hotelu?

— Tak. Mam przynieść czy nie?

— Ho... ho... kochanku, humor widzę ci nie dopisuje! Gdzież cię to uczyli grzeczności?

— A cóż to? Czy jestem niegrzeczny? No więc przynieść czy nie?

Dziwak jakiś, – pomyślał rotmistrz. Nie chciał się jednak bawić w pedagoga. Ograniczył się więc do zamówienia śniadania.

Chłopak skoczył na dół – przyniósł tacę ze śniadaniem, położył ją na stole niedbale tak, że aż wszystkie naczynia zabrzęczały i wyszedł. Rotmistrz wzruszył ramionami – i pospiesznie zabrał się do jedzenia.

W dwadzieścia minut potem sięgał już po klamkę apteki “Pod Trzema Kulami”.

Powzięty wczoraj plan natychmiastowego wyjazdu bez wahania porzucił. Postanowił pozostać w Rouffach tak długo, dopóki tajemnicy przyjazdu Czerwieckiego nie wyjaśni.

Energicznie otworzył drzwi i uczynił ruch w kierunku schodów. Ale nie zdążył nawet zrobić jednego kroku, gdy otworzyły się z brzękiem drzwi boczne, wiodące do lokalu apteki – i wypadł spoza nich znany mu już z widzenia żyd, pracownik aptekarski – i zagroził mu drogę.

— Panna Róża prosi pana do ogrodu, panna Róża prosi pana do ogrodu, – bełkotał podniecony. Miał taką minę, jakby chciał powiedzieć: Nie puszczę cię na schody – chyba po moim trupie.

Rotmistrz mimo woli cofnął się. Pchała mu się przed sam nos twarz obrzękła o grubych wargach, plujących śliną przy mówieniu i o wylupianych, osłoniętych okularami oczach, przesywających go z uporem, a bezsilnie, jak oczy obrzydliwego gada.

— Do ogrodu? Z całą przyjemnością.

Żyd napierał nań w dalszym ciągu, jakby chciał czym prędzej wypchnąć go za drzwi.

— Do ogrodu wchodzi się od ulicy, – tutaj – tutaj – ja pana zaprowadzę.

Nerwowo pokazywał mu drogę, ciągnąc go za połą. Rozpięty fartuch aptekarski rozwiewał się koło jego krępej, otyłej postaci, tworząc jakby dwa wielkie, białe skrzydła. Rotmistrz mimo woli odsuwał się od niego, przeniknięty obrzydzeniem. Wyszli za narożnik domu. Była tam furka w murze, wiodąca do ogrodu.

Ogródek był niewielki, ale miły, pełny kwiatów, cały osnuty wijącą się po murach winną łożą. Na środku znajdował się stolik i ławka.

— O tu – niech pan siada.

Żyd zmusił Rotmistrza niemal siłą, aby spoczął na ławce – i zostawił go samego.

— Panna Róża prosi mnie do ogrodu, ale tu na mnie nie czeka?
Zastanowił się.

A więc nie chce, aby przyszedł na górę. Spławiła go na bok, aby jej w czymś nie przeszkadzał. Albo raczej nie przeszkadzał – im.

No, tak – to jasne. – Polecili temu wstrętne mu indywidualum z apteki, aby na niego czatował i na górę go nie puścił. Chodzi im wida o to, aby konszachty Levy’ego z polskimi dyplomatami nie stały się rotmistrzowi wiadome.

Prysnęły ostatnie złudzenia co do celu przyjazdu Kleinermana i Czerwieckiego. Rotmistrz wmawiał w siebie jeszcze, że skoro Levy jest wybitną polityczną postacią, mającą stosunki chociażby z takimi ludźmi, jak Bruno i Brun, to możliwe, że rząd polski ma jakieś powody do porozumiewania się z nim i że obaj dyplomaci przybyli tu z polecenia swej władzy.

Ale ta gorliwość w utrzymaniu ich przyjazdu w tajemnicy, wskazywała, że było inaczej. Że przybyli tu na jakieś konszachty samowolne i posiadające zapewne wobec Polski posmak zdrady.

Róża nie kazała czekać na siebie zbyt długo. Wpadła zdyszana i zaaferowana, pokrywała zakłopotanie sztucznie wesołym szczebiotem.

— Och – ależ pan niepunktualny! Obiecał pan przyjść wcześniej, – mieliśmy pojechać w góry! Czy to ładnie się tak spóźniać?

Udając, że niczego nie zauważył, tłumaczył się ze swobodą i niefrasobliwie.

— Niech pani sobie wyobrazi, że po prostu zasnęłam. Takie tu jest cudowne górskie powietrze, że spałam jak zabity. Co prawda z resztą, nie umówiliśmy się dokładnie co do godziny. A pojęcia “wcześnie” i “późno” są w różnych środowiskach różne.

— Pan ma rację. No, – z resztą nieszczęście się nie stało. Straciliśmy najlepszy pociąg – ale i następnym jakoś dojedziemy.

Masz tobie! To oni chcą go na ten dzień odesłać z Rouffach całkiem.

— Ale skoro straciliśmy najlepszy pociąg, to może by wycieczkę dołożyć do jutra? Obiecuję solennie wstać wcześniej!

— Kiedy umówiłam się już z całą paczką znajomych! Nie wypada się wycofywać.

Próbował się jeszcze wykręcać i pozostać w Rouffach, ale widział, że go do zetknięcia z Czerwieckim i tak nie dopuszczą. Był pewien, że nic się już o tym człowieku nie dowie poza samym faktem jego przyjazdu do Rouffach. Mógł już być właściwie wyjechać, tak jak to wczoraj sobie zamierzał. Warto było jednak poświęcić jeszcze jeden dzień. Przedłużenie pobytu o te dwadzieścia cztery godziny nie odgrywa dlań roli – a całodzienna

wycieczka w góry może dać sposobność do wygadania się pełnej temperamencie pannie.

Pobiegła na górę przebrać się i wziąć parę drobiazgów.

Gdy wyszli, ona zaprowadziła go naprzód do miasta, gdzie wstępowała do kilku domów po kolei, aby ściągnąć zapowiedzianych współuczestników wycieczki. On musiał za każdym razem wycze kiwać na dole, co wedle zegarka dość długo trwało – stąd wniosek, że znajomi jej nie byli tak całkiem gotowi do tej wycieczki, jak to Róża twierdziła i że trzeba ich było dopiero w zamiarze udziału w tej wycieczce umacniać.

Ostatecznie zebrała się paczka, złożona prócz Róży i rotmistrza z trzech panien i dwóch młodych ludzi, studentów Strassburskiego uniwersytetu, mający właśnie wakacje. Na pociąg ledwo udało się zdążyć.

Rotmistrz czuł się w tym towarzystwie nieswojo. Było ono rozba wione i rozszczebiotane w sposób tak dziecinny, a zarazem tak prowincjonalnie pospolity, że go to aż drażniło. Czuł zresztą, że Róża się wśród tych swych rzekomych przyjaciółek nudzi.

Wysiedli na jednej z małych stacyjek podgórskich – i ruszyli żwawym krokiem ku wznoszącemu się tuż nad torem kolejowym zbocz. Dopiero gdy znaleźli się na stromo wspinającej się ku górze ścieżce leśnej i gdy pochód ich nieco się rozciągnął, – rotmistrz znalazł się wraz z Różą w takiej odległości od reszty towarzystwa, że mogli swobodnie rozmawiać, nie będąc przez tamtych słyszani.

— Pan się wśród mych przyjaciółek nudzi! Wolałby pan wędrować ze mną sam na sam – co?

— Pewnie.

— I ja bym też wolała. No, na tak długa wycieczkę to nie wypada. Ale jutro wymkniemy się we dwójkę na wzgórze w okolicy Rouffach. Dobrze?

— Dobrze.

Objęła go powłóczytym spojrzeniem, w którym była i przymilność kotki i zmysłowa pewność siebie kobiety, która uważa, że mężczyzna stał się już jej niewolnikiem. Nigdy jeszcze nie wydała się rotmistrzowi tak wyraźną żydówką jak teraz, – a mimo to przeszedł przezeń dreszcz pożądania.

Rozchyliła usta w uśmiechu.

— Ma pan pecha. Przyjechał pan za panną – a tu wciąż natyka się pan na cały tłum ludzi. To wczoraj te dwa Bruny, to znów moje przyjaciółki. Utopił by pan te dziewczeczki w łyżce wody – co?

— Wyznaję, że nudzi mnie ten nadmiar nowych znajomych. Nie tego oczekiwałem jadąc do Rouffach na w zasadzie niedwuznacznego pani zaproszenia.

— Cierpliwości, cierpliwości – będzie pan wynagrodzony. Jutro pójdziemy w góry sam na sam.

— Dziwię się, że dzisiaj nie zabrała pani Brunów na wycieczkę?

— Kiedy już wyjechali.

— Wyjechali? – udawał, że jest o nich zazdrosny. – Czyż tak? Zdawało mi się gdy siedziałem u państwa w ogródku, że słyszę na górze jakieś głosy.

— To nie oni.

— Nie oni?

Roześmiała się.

— O – widzę mój piękny wojak zazdrosny! Nie mój panie, nie. Nie oni. Bruny oba wczoraj wyjechały. Tam są inni.

— Cóż to znów za jedni?

Spowaźniała.

— Jacyś nudziarze. Do ojca wciąż się jacyś ludzie zjeżdżają.

— Filateliści?

— Filateliści.

— Ciekawa rzecz, z jakiego kraju tym razem?

Coś mignęło w jej oczach, jakby niepokój i czujność. Zawahała się i odrzekła krótko:

— Nie wiem.

Nie chciał jej czujności budzić, więc zmienił przedmiot rozmowy.

— No więc dobrze. Jeśli pani obiecuje wycieczkę sam na sam jutro, to dziś i w liczonym towarzystwie humoru nie stracę. A muszę pani wyrazić wdzięczność, że mnie pani zaprowadziła w zakątek tak śliczny.

— Prawda, że tu ładnie.

Szli malowniczą ścieżynką pnącą się na zbocze góry. Rozległa zalesiona dolina leżała im u stóp, a wyniosłe grzbiety górskie piętrzyły się nad głową.

— Bardzo ładnie. Przypomina mi to góry w pobliżu mych rodzinnych stron, – Wschodnie Karpaty. Tylko, że nasze góry są surowe i dzikie, a te są łagodne i wesołe.

— Pan w życiu wiele chodził po górach?

— Wiele nie, ale chodziłem. Czasem nawet chodziłem we dwójkę z mą siostrą.

— Pan ma siostrę?

Głos jej zmiękł jakby ją ta wiadomość ucieszyła.

— Jak pana siostrze na imię?

— Róża.

— Róża? To pana siostra ma to samo imię, co i ja!

Ciepły ton z którym odezwała się o jego siostrze, nie był mu miły. Odruchowo zmienił przedmiot rozmowy i zapytał:

— Jak się ta góra nazywa?

— Grand Ballon D'Alsace.

— A jak się ten Grand Ballon nazywa po alzacku?

— Grosser Belchen.

Szli dalej znów całą gromadą.

Obejrzeni drzemiące w leśnej kotlinie urodze jezioro, zwane po francusku lac du Grand Ballon, a w niemieckiej gwarze alzackiej Belchensee i zaczęli się wspinać na główny masyw górski Grand Ballon. Wypoczęli chwilę w szalasię pasterskim i posilili się mlekiem i góralskim serem. Pozostawili w dole poza sobą strefę lasów i wydostali się na skalny grzbiet góry, tym różny od szczytów karpackich, że pozbawiony kosodrzewiny. Stanęli na najwyższym głazie, rozglądając się wokoło po cudnej panoramie alzackiej, sięgającej od wyniosłych gór aż do doliny Renu i potem ku drugim górcom, leżącym już w Niemczech: widniejącej w oddali sonej smudze Schwarzwaldu.

Ale rozmawiać już więcej nie mogli.

Cel wycieczki był osiągnięty, trzeba było wracać. Zjedli obiad w schronisku i ruszyli w dół.

Łatwiej jest schodzić z gór, niżli wchodzić na nie. Puścili się niemal biegiem po ścieżkach. Francuzeczki, towarzyszkki wycieczki wzięły się za ręce i zaczęły śpiewać. Róża wtórowała im od niechcenia. Po paru godzinach znaleźli się znów na jakieś kolejowej stacyjce.

Gdy dojechali do Rouffach, było już dość późno.

— Niech mnie pan nie odprowadza. Nie, nie – pójdę sama.

Napierał by ją odprowadzić, bo miał nadzieję, że uda mu się wejść wraz z nią na górę i że natknie się na Czerwieckiego.

— Nie! Pan nie ma pojęcia co to znaczy małe miasteczko. Pomyślą, żeśmy zaręczeni. Do widzenia Panu.

Nie chodziło jej o złe języki, gdy wyjeżdżała z nim na wycieczkę i gdy obiecała nową wycieczkę na jutro. A teraz zrobiła się taka wrażliwa!

Rozumiał dobrze, że właśnie o to jej chodzi, by Czerwieckiego nie spotkał. Toteż właśnie dlatego postanowił zrobić jej niespodziankę i jeszcze dziś wieczór zjawić się u niej z niezapowiedzianą wizytą.

Pożegnał się bez protestów i poszedł do hotelu. Przebrał się, oczyścił i po pół godzinie ruszył ku aptece Levych. Była godzina dziewiąta. Jak na małe miasteczko, nie jest to pora stosowna na wizytę. Nie miał nawet czym tej wizyty wytłumaczyć, po prostu przyjdzie i już.

Spotkanie z Czerwieckim wywoła pewne różne zawikłania, bo choć Czerwiecki nic o nim zapewne nie słyszał, to jednak będzie nań patrzeć podejrzliwie i będzie przypierać go do muru pytaniami. Trudno nawet układać jakiś plan rozmowy, bo nic się nie da przewidzieć, jak się wszystko ułoży. Ale będzie, jak Bóg da. Uliczka, przy której stała apteka, była już zupełnie ciemna. Nie widać było na niej ani jednego przechodnia. Również i w aptece światło było zgaszone, tylko na piętrze świeciło się jedno okienko.

Jakiś dziwny dźwięk doszedł do uszu rotmistrza. Jakby piskliwy jęk albo zawodzenie.

Przystanął i zaczął nasłuchiwać. Choć nie był nerwowy, ten dziwny, drgający w powietrzu głos ludzki, wzbudził w nim nieokreślony, niezrozumiały niepokój.

Nie mógł rozpoznać, skąd głos ten dochodzi. Chwilami wydawało mu się, że to nie jeden głos, ale dwa, albo więcej – i że go one osaczają ze wszystkich stron, niby śpiew jakichś niewidzialnych mar.

Po dłuższej chwili dopiero rozpoznał, że jęki wydobywają się spoza przylegającego do apteki muru. Zaniepokoił się, czy się tam coś komuś nie stało, – czy nie jęczy tam ktoś chory lub ranny. Chciał wejść do apteki i zwrócić na te jęki uwagę domowników, ale po namyśle postanowił sprawdzić co to było sam. Mur był niewysoki i obrośnięty łożą, – nie było to nic trudnego, wspiąć się nań i zobaczyć co się za nim dzieje.

Obejrzał się, czy go kto nie widzi. Było cicho i pusto, – odludna uliczka otuliła się już w spokój nocy. Pochwycił dłońmi wiotkie pnące winnej łoży i ostrożnie wdrapał się na mur.

Za murem znajdował się maleńki ogródek, cały zacieniony gęstwą drzew owocowych. Nie był on połączony z ogródkiem, gdzie rotmistrz siedział rano, lecz stanowił zakątek osobny, zamknięty w sobie i zewsząd otoczony murami. Zdawało mu się nawet, że nie ma doń furtki.

Na ziemię ogródka padała smuga światła, wydobywająca się z okna. Ale samo okno było niewidoczne, zasłaniał je bowiem załom ściany domu. Jęki było słycać teraz o wiele wyraźniej. Najwidoczniej wydobywały się z okna.

Rotmistrz słyszał już teraz zupełnie dokładnie, że to nie jeden głos jęczy, lecz kilka. Były to głosy męskie.

Zaciekawiony i zaniepokojony wydarzeniem, które się w tajemniczym oknie rozgrywało, rotmistrz zsunął się ostrożnie z muru do ogródka i wychylił głowę poza zasłaniający okno załom ściany domu. Krzak agrestu zabezpieczał go przed dostrzeżeniem go stamtąd.

W otwartym, jasno oświetlonym oknie trzech mężczyzn, odzianych w długie, białe-czarne całuny, zakrywające im głowy i ramiona, kiwało się rytmicznie, podnosząc ręce z wyrazem uwielbienia ku górze i wydając monotonne, rytmiczne, śpiewne jęki i westchnienia. To aptekarz Levy i dwaj polscy dyplomaci odbywali modły żydowskie.

Rotmistrz wycofał się po cichu i niepostrzeżony wrócił przez mur na ulicę.

Nie chciało mu się już iść na wizytę. Wrócił do hotelu.

Gdy znalazł się w swoim pokoju, zobaczył na stole niezauważony poprzednio swój paszport, przyniesiony mu przez policjanta w południe.